

# Awersja

Krzysztof Siwczyk

fot. Zniszczone książki w bibliotece Beth Israel Congregation  
Nowy Orlean (2005)



Nie czytamy,  
bo nie musimy dbać  
o pogłębienie błahości,  
wyniesionej przez  
wirtualność do rangi  
normy.

### Awersja

Statystyczny obraz upadku czytelnictwa w Polsce jest poniekąd obrazem wyjątkowo statycznym. Równia pochyła, pełzanie po dnie – do tego jesteśmy już przyzwyczajeni. Kwartalne, półroczne, roczne raporty przynoszą jedynie potwierdzenie prawdy, którą oswoiliśmy – jesteśmy ludźmi spoza biblioteki, stanowimy lud koczujący w portalach, migrujący w kierunku bezbrzeżnej analfabetyzacji. Jako masa upadłościowa nie wykazujemy instynktu analizy, który swoje żywotne źródło czerpał z lektur. Dodajmy: lektur metodycznych, codziennych, trudnych. Owszem, opanowaliśmy do perfekcji komunikację zredukowaną. Ekspresja naszych lęków, postaw i fantazji doskonale się mieści w SMS-owym formacie, atawistycznym echu zdań podrzędnie złożonych. Szybkość i skrót, doraźność i wyrazistość – oto domena języka wyhodowanego poza głębą grubych tomów filozofów. W tym stanie rzeczy słowa jakby na nowo z tymi rzeczami się spotykają, gdyż nie ukrywają najmniejszej nawet nadwyżki sensu. Stare, greckie dychotomie nie wykazują już mocy kreacyjnych. Nie widzimy interesu w zagospodarowywaniu tej kapitalnej otchłani, gdzie jeszcze nie

tak dawno temu wysoki modernizm odkrywał przed nami głębie, o jakich nie śniło się współczesnym piewcom nowego zaangażowania literatury w sprawy tego świata. Proteuszowy kształt, jaki nadaje nam „zycioczytanie”, w żadnym razie nie może być odpowiedzią na „stan płynny” nowoczesności. Tu potrzeba postawy versus. Odpowiedzią na nasz czas jest człowiek spoza biblioteki – nomada bez tobołka z książkami, które zabrał na bezludną wyspę. Nie ma ani wyspy, ani wyboru książki. Jest natomiast wielkie zbiegowisko nomadów, zaangażowane w rytuał redukcji. O ile jeszcze 30 lat temu byliśmy skłonni uwierzyć w symulacyjny wymiar rzeczywistości, w symulakr jako rodzaj bozonu Higgsa, o tyle dzisiaj doskonale się obchodzimy bez obietnicy płynącej ze strony książki – niepotrzebne nam są spekulacje, wielkość indywidualnej wizji pisarza. To my „jesteś/my/ ja/kimś/ rozwiązaniem” (R. Tekieli), które doskonale się obchodzi bez opisu i kontestacji. Książka, jeżeli rozumieć ją jako „wyjście z ram”, w żadnym razie nie stanowi atrakcji, której charakter wписыwałby się w poszukiwany model zaspokojenia. Jeżeli się przyjrzymy na przykład, bez politycznych uprzedzeń, narracjom wyrażającym i reglamentującym sens, w zależności od opcji światopoglądowej, polskiego dominium władzy – jedno rzuca się w oczy: redukcja. W każdym przypadku werbalna presja nie wychodzi poza ramę potwierdzenia stanu jasności. Za Baudrillardem powiedzielibyśmy „paktu jasności”. Jasne bowiem jest, że z książką utraciliśmy również podmiotowość. Stąd permanentna promocja owej podmiotowości, subsydiowanie pojedynczości rzeźbionej w celebryckim mydle. Dziś podmiotowa jest masa skupiona w pojedynczym cieple jak gniazdo trutni, które wyłażą z ust takiego nosiciela przy każdej wypowiedzi, na jakikolwiek temat. W tym, metaforycznym, sensie pouczający wydaje się materiał wywiadowczy z Dodą. Jacek Żakowski +

na łamach „Polityki”, w najwyraźniej ekumenicznym, a jednak całkowicie pobłażliwym i chybionym geście, dostarczył czytelnikom pisma ciekawej pożywki. Dostarczył i przegrał. Silnie udokumentowany „masą” dyskurs Dody po prostu wybrzmiał w przeciwieństwie do niestabilnego, znaczonego ambiwalencją dyskursu „człowieka biblioteki”. Tego rodzaju dziennikarskie eksperymenty niczego nie uczą, nie mówią nam nic o „nosicielu masy krytycznej”, charakterze „człowieka spoza biblioteki”. Skupiają jedynie chwilowe emocje, rozbudzają zupełnie nieistotne, z punktu widzenia analizy, uśmiechy. Ewentualnie powodują przyływ lepszego samopoczucia, które powinno być znacznie gorsze. Opuśćmy tedy obszar czystego obrazu, ornamentu, o jakim Walter Benjamin wieszczyl, co wieszczyl, i jeszcze raz zwróćmy się w kierunku książki i „człowieka biblioteki”. Gdyż książka to awersja w czystej postaci.

### Człowiek biblioteki i człowiek spoza biblioteki

W imponującym tomie Listów Franz Kafka jawi nam się jako postać z krwi i kości. Uwikłany w mętne, codzienne perseweraacje, rozpięty nad grobem jak dziurawa kładka, powoli przechodzi na drugi brzeg nicości, transferując tam najpierw swój bagaż: literacki ekwiwalent życia, zwichniętą protezę, która do niczego nie może się przydać. Kafka jest człowiekiem alegorycznym, którego aktualizacja w warunkach naszej współczesności nieodmiennie natrafia na poważne trudności. Wydaje się bowiem, że zniknęły warunki brzegowe, abyśmy ponownie mogli przymierzyć jego surdut i melonik. Zniknęły groza i ironia jako zasady życia, pojawiała się natomiast, skutecznie nas znieczulająca, permanentna ekfrazja. Nie chodzi bynajmniej o postmodernistyczną śpiączkę wywłaszczającą nas z możliwości przeżycia

grozy i ironii. Po prostu grozę i ironię mamy już opracowaną w funkcjonalnej ekfrazie, niejednokrotnie obecnej w najbardziej nawet obskuranckim poradniku dobrego życia. Próba odzyskania grozy i ironii w przestrzeni literackiej najczęściej kończy się radykalnym oportunizmem, którego imiona odmieniane są przez mniej lub bardziej wyświechtane ideologie. Mamy do czynienia z identyfikacją literatury przez klucze socjologiczne, genderowe itd., itp. Tymczasem warto chyba na moment zaufać bloomowskiej teatralizacji literatury i zapytać o „silnego” pisarza dziś. Jakiego rodzaju tekst byłby w stanie wytworzyć uniwersum obywatelom się bez tetrycznej metafizyki, bez ostentacyjnej „tematyki”? Czy możliwy jest tekst literacki wychylający się w kognitywny obszar atrakcji, jakich nie zaznajemy w immanentnej gorąco doczesnego banału? Rzecz jasna, są to pytania głupie. Odpowiedzi natomiast dawno już padły. Również na polskim podwórku. Dla przykładu wiersz Adama Wiedemanna *Dobre maniere*:

Jesteśmy wszyscy zbyt uprzejmi  
Gdybyśmy byli mniej mniej byśmy się krzywdzili  
Wciąż tylko mniej i mniej Dlaczego cię tak mało?  
Coś ci przecież zawdzięczam To moje niedopatrzenie

Wygłupiam się (za dużo  
gości na tej imprezie)  
Już się nie mogę obudzić To już przeszłość  
Przeźroczyta Spójrz na nią Czy mnie widzisz?  
Siedzę pod stołem i słucham Pod tapczanem  
kałuża atramentu Spójrz: jestem błękitny

Nie ma kogo przeproszać nie ma czego pamiętać  
nie ma na kogo patrzeć Ma się zaraz dreszcze  
Żyjemy Nie da się ukryć  
Ktoś był tak uprzejmy

Kraków, 21.4.95

Niezobowiązujący tryb tego wiersza uruchamia pole resentymentu, przywołuje grozę i ironię w ich postaci niemal modernistycznej, jednocześnie ani na moment wiersz ten nie opuszcza doskonale znanej nam terazniejszości „ludzi spoza biblioteki”. Tekst ten chwyta rzadki moment spotkania języków, które się wykluczają, a ściślej, są już wykluczone z dziedziny doświadczenia współczesności. Dzieje się tak, gdyż ani „siedzący pod stołem” dzisiejszy Kafka nie jest w stanie zakomunikować niczego absolutowi jawiącemu się jako semantyczna impreza, ani tym bardziej ów absolutnie imprezowy charakter transcendencji nie przyzywa do siebie, nie ma na co w nim patrzeć, czego pamiętać i za co przepraszać. Ten ktoś, kto „był tak uprzejmy”, ewidentnie uszedł, abdykował. Jednocześnie inwazja języka potocznego, komunikacji o niemal SMS-owym szwungu też nie przynosi nic poza wzniosłą retoryką pytania o podmiotowość. „Dlaczego cię tak mało? – ano dlatego, że jako „człowiek spoza biblioteki” mam jedynie siebie do zakomunikowania, nie znam języków, które „mnie” mogłyby przydać chociaż odrobinę ontologicznego ciężaru. Przy czym „człowiek spoza biblioteki” nie zadaje dziś już tych pytań. „Człowiek biblioteki” natomiast nie kodyfikuje ich w tekstach, tak jak zrobił to Wiedemann jeszcze 15 lat temu. Skoro się zgodzimy, że książka, wiersz na przykład, budzi w nas awersję, ujawniając radykalną błahość naszego istnienia, warto prześledzić jej charakter. Odnoszę wrażenie, że awersja ta polega na zadzierzgnięciu kontaktu z własną bezsilnością, której zaawansowaną protetykę obserwować można, włączając po prostu komputer. Wizyta w dowolnym portalu to po prostu odwiedziny w domu inwalidy.

## Domy inwalidów

Nie czytamy, bo nie musimy dbać o pogłębienie błahości, wyniesionej przez wirtualność do rangi normy. 90% informacji z każdego portalu internetowego dotyczy błahości, stanowi jej prezentację. Wizerunki okraszające zdawkową notę to idolatrie bóstw banału, czystej szyby, która odbija stan atrofii sensu. Stężenie niedogonów – oto ekstrakt znaczeń, jakie pozostają w świadomości po lekturze dowolnego portalu. Ciekawie na tym tle jawi się forma informacji o książkach. Wyłączając nieliczne zakamarki, książka funkcjonuje jako tekst do opowiedzenia, jako artefakt, a nie fundamentalne zaprzeczenie. Książka zostaje rozpuszczona w roztworze informacji komunikujących zarówno prostotę życia, jak i jego nieskomplikowane zakończenia. Wszelkie międzysensy prowadzą się do poradnictwa. Skądinąd nasza kondycja przypomina bohatera Monty Pythona – dzielnego rycerza, któremu w pojedynku przeciwnik odjął już ręce i nogi. Ten jednak ogłasza remis. Mówimy: „remis”, bo nie czytamy. Gdybyśmy to robili, należałoby się przyznać do porażki. Życie bez lektur jest życiem inwalidy, który nie ma czego wspominać. Nie utracił zdrowia, bo nigdy go nie miał. Takie życie może być szczęśliwe. Wtargnięcie książki w porządek głupkowatego szczęścia budzi zrozumiałą awersję. Po co nam wiedzieć o czymś, co być może przeczuwamy, ale wsparci sojuszem z wirtualną katechezą w spokoju ducha wypieramy? Długotrwałe przebywanie poza żywiołem języka lektur stopniowo nas unieobecnia, po prostu zostajemy radośnie zutylizowani w ogólnym entuzjazmie obrazu. Dzisiaj – rzecz jasna, mówiąc w poetyce uogólnienia, którą wybrałem – przeżywamy śmierć ludzi nieufornych, naszym udziałem jest zdawkowy zgon, którego nie da się przeczytać, można go jedynie zobaczyć. Dlatego tak bardzo dbamy o cerę. ●